

POLEMIKA Z PROFESOREM - profesor odpowiada

No i doczekaliśmy się w łódzkiej literaturze zażartej polemiki. Profesor Tomasz Cieślak zrecenzował książkę Przemysława Owczarka *Miasto do zjedzenia* (Mikołów 2013). Poeta z recenzji nie był zadowolony i odpowiedział polemicznym autokomentarzem do własnego tomu. Na to recenzent...

Trudne zadanie - Tomasz Cieślak

„Miasto do zjedzenia” to obszerna „łódzka” książka znanego rodzimego poety, Przemysława Owczarka. Trudna i ciekawa lektura. Łączy wspomnienia, drobne obrazki z przestrzeni miasta, notatki, teksty bliskie poetyce zaangażowanego społecznie felietonu - z żartobliwymi i całkiem serio konstruowanymi przepisami kulinarnymi oraz sumiennym przewodnikiem po Piotrkowskiej. A obok nich odnajdziemy dialog Rubinsteina z Tuwimem, cykl liryków, poemat i groteskowo rymowane drobne wiersze oraz, na osobnej, wklejonej planszy, przewrotną, bardzo osobistą mapę centrum Łodzi. Różne te formy czytać trzeba nierozdzielnie, bo wzajemnie się motywują, oświetlają i dopełniają. „Miasto do zjedzenia” jest też w jakiejś mierze utworem z kluczem, nie do końca zapewne czytelnym dla niełódzian, zwłaszcza że niektóre odwołania mają charakter dość swobodnych skojarzeń i bardzo dyskretnych aluzji. Ogrom odniesień do współczesności i historii, do najbardziej charakterystycznych punktów w miejskiej topografii, do ważnych i mniej istotnych wydarzeń, politycznych debat i sporów, plotek i anegdot z codziennego życia - zaiste imponuje. I przytłacza, i onieśmiela, i - zastanawia. Po co takie nagromadzenie szczegółów? Nie tylko czytelnik, choćby najuważniejszy, nie jest w stanie tego bogactwa tekstowego w pełni zrozumieć ani przeżyć. Podobnie zresztą i sam wykreowany przez Owczarka bohater - narrator - podmiot liryczny. On też gubi się pośród różnych przenikających się pokładów łódzkości, szuka jakichś do nich kluczy - i chyba nie znajduje. Przemierza Łódź, a przemierzając próbuje ją opowiadać, odtwarzać, a może - stwarzać na nowo, po swojemu?

Przywołuje to, co najbardziej znane, charakterystyczne i oczywiste dla łódzian: specyficznie łódzkie punkty w przestrzeni (np. fontannę na placu Dąbrowskiego, Polesie Konstantynowskie - jedyny chyba w Polsce rezerwat leśny w mieście, Manhattan, Rudzką Górę), pamięć rozmaitych wydarzeń (tragiczne w skutkach wybuchy gazu na Retkini w pierwszej połowie lat 80.), obiegowe sądy i stereotypy na temat Łodzi (o „złym mieście”, o jego wyłącznie włókienniczym i tylko robotniczym charakterze, o mieście czterech kultur), specyfikę łódzkiego języka (kto poza Łodzią wie, co to „angielka”?). Owczarek składa miasto ze znanych puzzli, jego bohater okazuje się zresztą nieprzekraczalnie i wyłącznie łódzianinem, który nie ma potrzeby objaśniania i budowania zajmujących opowieści dla odbiorców skądinąd. Przeciwnie, jest u siebie, mierzy się, sam na sam, z miastem i swoimi o nim wyobrażeniami oraz ze swoją pamięcią. Mierzy się - bo przywołuje nader często, brutalnym językiem, niesmacznie, drażniąco - także zdarzenia patologiczne i tragiczne (afery łowców skór, dzieci w beczkach).

Bohater utworu usiłuje przede wszystkim odkryć istotę, fenomen Łodzi w jej realnej przestrzeni. Nazwy, wyglądy, numery domów ukonkretniają, zakorzeniają i - paradoksalnie - subiektywizują literacką kreację. W wędrówce przez miejską przestrzeń miesza się i nakłada na siebie to, co teraz, z tym, co kiedyś, bez wyraźnego rozróżnienia, bez wskazania procesualności zmiany oraz refleksji nad jej źródłami i skutkami, bez stałej zasady, poprzez luźne skojarzenia i przypomnienia. Taki

charakter ma przede wszystkim Piotrkowska, opisywana w stanowiącym integralną część książki poemacie „uczta jednej ulicy”. Zapis podróży po niej, podróży wspak, bo od końca do początku, wypełnia niezwykle wręcz bogactwo współczesnych obrazów (stąd opisy kamienic, pomników, szyldów, witryn) współistniejących z tym, co było kiedyś (od suchych informacji historycznych po osobiste wspomnienia z dość odległej przeszłości). Podróż Piotrkowską to ani nie jest podróż w czasie, ani w przestrzeni, obie te sfery okazują się nierozdzielne i wzajemnie się przenikają, lecz próżno szukać będziemy jakiegoś niezawodnego i stałego mechanizmu czy wzoru owego przenikania – zawsze decyduje o tym, w sposób niepowtarzalny, doświadczający podmiot – bohater poematu.

Utwór Owczarka jest tekstem łódzkim, arcyłódzkim, który wykorzystuje w budowaniu swoistej ‘ideologii łódzkiej’ pamięć kulturową Łodzi (bo nie umie albo nie chce w pewnych zakresach jej przekroczyć), której składowymi są: nostalgiczne poczucie utraty (wielokulturowości, blichtru i bogactwa Łodzi przemysłowej), doświadczenie przemocy (rewolucji 1905 roku, Holokaustu), peryferyjności i niespełnienia – oraz (a może nade wszystko?) niepochwytne, niedefiniowalne, a wyrastającego z wymienionych składowych i z przestrzeni miasta genius loci. Łódź Owczarka – mówiąc dosadniej, a sporo w utworze, jak wspomniałem, wulgarności i dosadności – to miasto przemilczanej albo zagadywanej bądź zapijanej traumy. Dlatego tak ważnym patronem „Miasta do zjedzenia” jest Julian Tuwim: poeta tej łódzkiej traumy właśnie, łódzkiej biedy i przemocy, nienawidzący Łodzi i nieprzytomnie do niej po latach tęskniący.

Jednak kluczowy dla zrozumienia artystycznego zamysłu „Miasta do zjedzenia” jest trop kulinarny. W kilkunastu miejscach utworu znaleźć możemy nie tylko klasyczne w kształcie przepisy, ale też sporo metafor jedzenia i trawienia. Bo „Miasto do zjedzenia” to ambitna próba poznania i zrozumienia (więc przetrawienia, skonsumowania) Łodzi – próba dotarcia do jej „prawdziwej twarzy”, zdjęcia przesłon, przesądów, mitów, tajemnic. Odnalezienia jej pomiędzy powszechną nadal o niej niepamięcią a budowaną dopiero mozolnie pamięcią. Ale Łódź pozostanie chyba jednak nadal wyzwaniem.

Tomasz Cieślak

Po tej krytycznej zalewajce Cieślaka (trochę kwasu + woda + parę smakowitych grzybków) Owczarek zaserwował nam potrawkę z myszołowa w ostrym sosie esejowym i gorzkich ziołach.

Krytyk do zjedzenia. Polemika z recenzją Tomasza Cieślaka pt. „Trudne zadanie” - Przemysław Owczarek.

Krytyk, który w podsumowujących momentach swojej recenzji używa dwukrotnie słowa „chyba”, ma rzeczywiście trudne zadanie. Wyobraźmy sobie chirurga, który stwierdza: przerzuty są chyba w lewym płucu? – wycinamy. I po pacjencie. Zatem jeśli krytyk nie jest przekonany co do własnych rozpoznań, powinien odstąpić od utworu i klawiatury. Można to stwierdzenie sprowadzić do aforyzmu i zamknąć kwestię, ale postanowiłem przeżuć potrawkę prof. Tomasza Cieślaka – z którym zdarza mi się miło współpracować – żeby Państwu wyjaśnić, skąd mógł się dla mnie wziąć jej mdły smak. Inaczej mówiąc, w kraju z istoty klanowym, gdzie przesunięcie w górę poprzeczki wywołuje zgrzytanie zębów, a brak solidnej polemiki zastępowany jest przez asekurację i władzdupstwo, warto jest prowokować ujędniającą nawalanę.

Wybaczcie. Występuję w interesie własnej książki. Jeśli wiersz wychodzi z domu i nie wraca, po co autor wybiega za nim i zgłasza pretensje. W tym jednak przypadku lektura została obwarowana wskazówkami, a punkty orientacyjne i warunki możliwości interpretacji zostały określone. Mamy na

stole jedną z propozycji upichcenia tekstu preferowaną przez samego kucharza, który ma prawo sugerować, jak można spożyć danie.

Tymczasem recenzja Tomasza Cieślaka całkowicie to pomija, wskazuje, że podmiot liryczny szuka istoty Łodzi i zaiste błądzi, bo „chyba nie znajduje”. Dorzucmy topografię, stereotypy, łódzki słownik, brutalny język. Razi krytyka nadmiar szczegółów, bo się nie mieści w filologicznych szufladkach. Cieślak próbuje zdefiniować książkę poprzez wyliczenie zastosowanych w niej gatunków i na tym kończy klasyfikujące rozpoznania. To przecież nie tomik ze spójną poetyką, którego cnotą powinna być idiomatyczna przewidywalność, a raczej drażniące tomiszczce, które trzeba solidnie przestudiować, próbując przełknąć te okropne wulgaryzmy jakiegoś proteusza. Kto to napisał? Poeta napisał a zebrał etnograf, który wierzy w szczegóły i konkrety, bo w nich jest więcej życia. Zatem, z czym mamy do czynienia? Poemat, proza poetycka, felieton? Nie mam, proszę Państwa, w tej kuchni wiele miejsca, więc sedno swojej polemiki wyluszczę w formie przepisu.

Weź „Miasto do zjedzenia”, jego połcie – dwie księgi, „Głód” i „Zapusty” – i ich części. Pomyśl, że Łódź to taka brzemienne starucha. „Głód” dzieli się na: część I „Sekrety cielęciny” – miasto widziane oczami dziecka; część II „Czarna polewka” o miejskich traumach i skórach zrzucanych przez Łódź, której duch nowoczesności wciąż każe powstawać z ruin sensu i kolejnych kryzysów – pokłon tobie melancholio; część III „Potrawy z łowców” jest poświęcona dzikim zwierzętom w mieście: pustułkom, sowom, lisom etc. Forma? Zesejowana proza poetycka przeistacza się w wiersz rymowany, który kontrapunktuje przepis kulinarny bądź notka, co jadłem, gdy powstawała kolejna narracja i jej liryczne „wykończenie”. Między częściami znajdziecie trochę wierszy – nazwałem je „zaułkami zakąsek” – to pasaż, przejścia i łączniki. W tej księdze podmiotem jest „ja”. Weź drugą księgę – „Zapusty”: część I „Uczta jednej ulicy”, to wędrówka na wspak Piotrkowską po znakach i maskach, marsz, w czasie którego wymieszały się historia, surrealne wizje i terażniejszość – widzieliście obraz Bruegla „Wojna postu z karnawałem”? – aż się wszystko nawzajem znosi od numeru 317 do numeru 0, aż miasto umiera i rodzi się na nowo na placu Wolności w eksplozji karnawału – więc trzeba „przejsć” przez cielesność i jego „dół”, jak Gargantua, jeść, pić, tańczyć, przeklinać, kopulować, śmiać się i wydalać, zwolnić mechanizmy kontroli społecznej, bez wydumanego marketingu i czujowej nostalgii, lecz ekstatycznie i dionizyjsko. W ten sposób miasto i człowiek nakładają maski, ten cały łódzki eklektyzm, wcielają w siebie mit śmierci i odnowy. W końcu wszyscy jesteśmy głupcami, Łódź to nasz statek, musimy zdać sobie sprawę, że jesteśmy „karmieni przez sny” w II części i trzeba obudzić się z prenatalnego koszmaru; mamy pracę do wykonania, łodzianie powinni wziąć miasto w swoje ręce. Kto może wyrazić uniwersum karnawału? Hasło: umarło miasto, niech żyje miasto! Kto reprezentuje uniwersum karnawału? Dziecko, melancholia na rauszu i czczona w nas zwierzę. Trzy figury w rozprężonej czasoprzestrzeni łączą się w jedną figurę przebierańca-ozdrowieńca. Po agonii Łodzi odliczanej w poemacie przez ostatnie dziesięć numerów ulicy, do śmierci i ponownych mityczno-groteskowych narodzin miasta, trzy figury stapiają się w doskonałą postać Androgyne – dziewczynka. W karnawale sfery kultury i natury mieszają się ze sobą umożliwiając regres i odnowę, stąd wielopłciowe i groteskowe człeko-zwierzęce postacie rodem z plemiennych rytuałów. Dlatego w II księdze podmiotem staje się „my” – wspólnota, a tekst to performatywny „scenariusz” karnawału. Jak księga jest rozpisana? Jakbyście na poemat prozą założyli maskę eseju, zaś na jego korpus fartuch kucharza, czyli dyskurs kulinarny, a w ręce włożyli bedeker. Podobny melanz tyczy się księgi I.

Tak jak eklektyczna jest łódzka architektura, eklektyczne jest „Miasto do zjedzenia”. Łączy je ta sama trudna do zdefiniowania istota – nowoczesność, tj. niepochwytność, fragmentaryzacja, pływ, widmowość metafizycznego i topograficznego centrum, uparte trwanie pośród ruin sensu, gotowe na realizację kolejnej utopii, kpiący z długotrwałych tradycji atawizm i nomadyczny temperament. Ale celem mojej książki nie jest osaczenie istoty Łodzi, lecz stworzenie poprzez rytuał karnawału cezury oddzielającej dzisiejszą Łódź od ostatnich 20 lat przemian, kiedy Polska była dla miasta

macochą. Łódź zaczyna się odradzać, dlatego zafundowałem jej literacki zgon i kosmiczny poród, dokonując swego rodzaju operacji na wizerunku.

Staram się poszerzać granice literatury. Chcę, by była ona wyzwaniem, a krytyk drapał się po głowie, odnajdując w niej dziurę, jeśli tak niepewnie naznacza swój styl słowem „chyba”. To tam, w tej dziurze, musiały zniknąć takie słowa-klucze jak: rytuał, karnawał, mit, groteska, sylwa, zapis automatyczny, monolog wewnętrzny, pasaż tekstowy, poemat prozą, esej, perspektywiczność, konstelacja, epifania etc. Jak można było pominąć je w recenzji, przecież można je objaśnić? „Miasto do zjedzenia” potrzebuje krytyka o kompetencjach antropologa literatury.

Drodzy Państwo, podaję książkę we własnym sosie i życzę smacznego. Jestem przekonany, Niepewny Tomaszu, że „Miasto do zjedzenia” jest nadal dla ciebie wyzwaniem. Jeśli doceniasz trop kulinarny, powinienesz mocniej wgryźć się w mięso. Ale trzeba mieć ostre zęby i sztucce.

Przemysław Owczarek

Publikujemy oba teksty w nadziei na lawinę komentarzy. Dwa dania to przecież za mało na literacką ucztę. Przydałby się deser, kompot, a może nawet małe poprawiny. Internet wiele wytrzyma, byle wątroby czytelników jakoś to zniosły.

No i doczekaliśmy się odpowiedzi Tomasza Cieślaka, także w duchu kulinarnym. Co jak co, ale promocja książki Przemysława Owczarka - wyborna...

W odpowiedzi Przemysławowi Owczarkowi - Tomasz Cieślak

Świetnie, że Przemysławowi Owczarkowi nie przypadła do gustu moja krótka recenzja Jego „Miasta do zjedzenia”, bo też i nie Jego gust, z całym dlań szacunkiem i sympatią, jest dla mnie najważniejszy. Autor oczekiwał ode mnie najwyraźniej naukowego elaboratu, chciał sumiennej egzegezy - a tu proszę, zawód! Nie wyłowilem z tekstu wymienionych starannie przez Owczarka w jego odpowiedzi na mój skromny szkic wszystkich trzynastu słów-kluczy niezbędnych do zrozumienia Jego tekstu. Nie wskazałem w półtorastronicowej, przystępnej recenzji najgłębszych sensów Jego dzieła!

Szkoda tylko, że Autor, wśród przykrego poczucia zawodu, nie zadał sobie pytania, dlaczego. Porównał moją pozycję do lekarza, który zamiast orzekać, mówi „chyba” - i zaproponował mi grzecznie zamknięcie. Otóż nie sprawię mu tej satysfakcji. Najwidoczniej różnie rozumiemy funkcje i pozycję krytyka w popularnym miesięczniku. Nie widzę nic złego w tym, że ujawniam swoje wątpliwości, że nie stawiam diagnoz - i nie proponuję leczenia (a byłoby co leczyć). Swoją drogą, nie traktowałbym mojego „chyba”, którym dwukrotnie posłużyłem się w recenzji, jako świadectwa niepewności - jak chce Owczarek. On, Wytrawny Poeta, zdaje sobie sprawę, że moje „chyba” nie do końca jest świadectwem wahania. Użyłem go - może dopowiem, skoro nie widać - w funkcji eufemizmu. Raz pojawia się zamiast jednoznacznego „niestety nie” („On też gubi się pośród różnych przenikających się pokładów łódzkości, szuka jakichś do nich kluczy - i chyba nie znajduje”), drugi raz - zamiast „na pewno” („Łódź pozostanie chyba jednak nadal wyzwaniem”). Moja recenzja, czyli, jak pisze Autor, „mdła potrawka”, ugotowana przecież na jego dzieło, nie mogła mieć innego smaku, bo z takich produktów (dostarczonych przez samego Owczarka w zbyt dużych ilościach) powstała. Smaczne bowiem nie może być takie łączenie w tekście artystycznym kompetencji antropologa kultury i poety. Dlaczego? Bo dokonuje się w „Mieście do zjedzenia”: planowo, mozolnie, nudnawo i przewidywalnie, nazbyt czytelnie (natrętnie?) i mechanicznie. Tak jak smaczne nie będzie (tu wpisuję specjalnie dla Owczarka słowo „chyba”) połączenie czekolady ze smażoną cebulką - i nic nie pomogą nagabywania kucharza, że to świetny pomysł. Nie chcę, żeby to on, kucharz, decydował o moim guście i smaku. Nie chcę jeść pod dyktando kucharza i nie będę zachwycać się jego dokonaniem tylko dlatego, że on mi mówi, że warto się zachwycić. Moje szkice

do „Kalejdoskopu” rozumiem najprościej: dzielę się w nich moimi fascynacjami i zawodami, nie uprawiam tu nauki, staram się być bardziej dociekliwym czytelnikiem niż literaturoznawcą (i nie piszę jako „profesor”, co niemal w formie zarzutu akcentuje Autor, lecz pod swoim imieniem i nazwiskiem).

Wiem, zawiodłem kucharza Owczarka: chciał dogłębnego studium – i nie podołałem. Tym bardziej zatem jakoś wręcz wzruszająca jest ta część Jego odpowiedzi na mój szkic recenzencki, w której – jak sam stwierdza – „w formie przepisu” tłumaczy, jaka była jego autorska intencja i jak należy odczytywać sensy „Miasta do zjedzenia”, których nie opisałem – bo poszedłem w inną stronę, bo wbrew nagabywaniom kucharza chciałem tego dania spróbować sam, bez jego wyjaśnień czy podpowiedzi. Jakoś przejmująca jest też skromność, z którą Owczarek pisze, tak po prostu: „Staram się poszerzać granice literatury”. Otóż nie poszerza, bo tego się nie da założyć ani zadekretować – i tej kwestii głównie dotyczyła moja recenzja. Misterny plan Poety się nie powiódł. Zamiast „poszerzania granic” mamy niesmaczny, nieudany bigos, w którym za dużo wszystkiego. Siedzimy nad talerzem, dłubiemy nieśmiało widelcem, a kucharz aż rwie się, żeby stanąć nad nami i wyjaśnić, dlaczego jest w nim i jajecznicą, i ananasy (i jedenaście innych składników, bo w sumie ma być ich, jak założył, trzynaście). Nic z tego. Na nic zdadzą się ostre zęby i sztucce krytyka literackiego. Może rzeczywiście potrzeba mocnej szczęki antropologa kultury, żeby ten bigos pogryzł i przetrawił, analizując wszystkie składniki osobno, a nie martwiąc się o ich kompozycję? A co z żołądkiem?